

— Spij teraz, kochanko! Nie mam czasu bawić się z tobą dłużej!

Nazajutrz już o godzinie piątej zrana pani Collin-Megret była na nogach. Ubrała się spiesźnie i poszła do pokoju swojej pierwszej panny magazynowej, panny Amelii.

— Ot! Jakto, Amelio, spisuj jeszcze! — obrzuciła się stając na progu. — A interesu nasze?

— Jakiego interesu? — mruknęła, ziewając Amelia.

— Zapomniałaś już?! A małoś na nich sztuk złota zarobiła!

— Oh! Nie warto wspominać! Ja pracuję, a pani zabiera pieniądze!

— Bo muszę sama pilnować wszystkiego. A gdybym się tak wylegiwała, jak ty!...

— Oh! proszę bardzo! A któż to wstaje codziennie o godzinie jedenastej? Może ja?

— No, cicho już! Chciałam ci tylko powiedzieć, że na dziś mamy sprawę z tą dziewczyną, i jeżeli chcesz zarobić...

— Dlaczegoż pani od razu tego nie mówiła! Zaraz wstaje! A jest jeszcze co nowego?

— Jest, pod numerem drugim druga, którą wczoraj zabrałam z ulicy, godna zainteresowania. Chcę się nią zająć. Chora jest trochę; idź do niej i pomów z nią, bo to głupiotkie jeszcze.

— Masz tobie! Mam być teraz opiekunką gasek, tak, jak to było za dzieciennych lat! Ładne zajęcie!

Gdy po kwadransie zeszła do pracowni, była już całkiem inną osobą. Przywitała panią Wiktoryę grzecznie i z uszanowaniem, jakgdyby jej jeszcze dziś nie widziała, a ta zaś zaczęła do niej mówić „panno Amelio“.

Pierwsza „podręczna“ pani Collin-Megret udała się następnie do pokoiku, zajmowanego przez Luizę i usiadła na krześle, czekając cierpliwie na jej przebudzenie się.

Panna Amelia była istotą o niskich bardzo instynktach i charakterze. Na jej usprawiedliwienie nie możnaby dodać, że nie czuła się nigdy szczęśliwą w życiu. Przeważającym nieszczęściem tej brzydkiej i szorstkiej dziewczyny było to, że nie potrafiła nigdy zostać „zrozumianą“ przez osobnika płci męskiej. To zaostriżyło jej charakter, a duszę napełniło goryczą i zazdrością dla bardziej uprzywilejowanych. Zatrwać życie drugich, stało się teraz ulubioną jej rozrywką i przyjemnością; w dodatku była bezgranicznie chciwą i skąpą. Gdy weszła, jako pracownica, do domu pani Wiktoryi, ta sprytem swoim wyczuła, że nowa „podręczna“ stać się jej może bardzo użyteczną. Wkrótce też doszły do zupełnego porozumienia.

Panna Amelia posiadała specjalny dar uświadamiania młodych dziewcząt, zajętych w pracowni, obdzierania ich ze wszelkich illuzji młodości i nadziei; to była jej zemsta i korzyść.

Luiza obudziła się z trudem, czując ciężar jakiś na mózgu i dziwne odrętwienie całego ciała.

— Gdzież jestem, mój Boże! — szepnęła — Chcę wiedzieć, gdzie jestem.

— U zacnej pani Wiktoryi — pospieszyła z odpowiedzią panna Amelia — największej modystki z ulicy św. Łazarza, która poleciła mi czuwać nad panią i opiekować się nią.

— A tak! — rzekła Luiza, przecierając rękami czoło — przypominam sobie, mówiła o córce, która miała być do mnie podobną i umierać.

— Tak właśnie.

— Pani, błagam cię, pozwól mi stąd odejść! Ja muszę stąd iść! Czuję się już silną.

— Dzięki tej dobrej pani Wiktoryi, która zajęła się panią, jak własnym dzieckiem i której chcesz się tak odwdzięczyć! Oo, to nie ładnie! No, panno Luizy, niech pani porzuci tę myśl, a opowie mi coś o sobie... to pani ulży... domyślałam się jakiejś tragedii sercowej, prawda? Mój Boże, jaka pani jeszcze dziecinna! Będąc tak ładną, jak pani, martwić się o takie głupstwa!

Luiza odwróciła głowę, przejęta nagle wstrętem do tej dziewczyny.

— Wyśmiano twoją miłość, co? — ciągnęła dalej panna Amelia — no, śmieć się teraz ze wszystkich, tak, jak ja i mścił się! Jesteś ładną, a stać się możesz jeszcze ładniejszą! Możesz mieć toalety, brylanty, powóz własny.

Luiza Rieux drżała ze wzruszenia. Przecież w ten sam sposób przemawiał do niej Andrzej, ten człowiek, który był powodem jej nieszczęścia. Pomimo wstrętu i obrzydzenia, czuła jednak jak głuchy bunt, wstępujący do jej duszy, szalone pragnienie pomśzczenia się za krzywdy doznane.

Niebezpieczną tę rozmowę przerwało wejście pani Wiktoryi, prowadzącej ze sobą Janinę le Brenn.

— Widziałaś już pracownię — mówiła z macierzyńską dobrocią — i poznałaś swoje koleżanki. Mam jeszcze tam na górze panny do przymierzania,

manekiny, ale od tych trzymać cię będę zdaleka, bo to dziewczęta lekkie, pochodzące z warstw niższych. A teraz zapoznam cię z Luizą, o której tyle ci już mówiłam. Bądź dobrą dla niej, bo to biedne i nieszczęśliwe dziecko. Potrzebuje wielkiego starania i opieki. Wyznaczyłam ci ładny pokój obok niej. Panno Amelio — zwróciła się do pierwszej swej „podręcznej“ — Proszę zejść na dół do pracowni. Panna Janina zastąpi panią przy chorej.

— Z całą przyjemnością — zawołała panna Amelia, obrzucając ciekawym spojrzeniem nową przybyłą.

— Pozostawie cię tu teraz, staraj się zaprzyjaźnić z Luizą — dodała pani Collin-Megret — gdyż i mnie obowiązki już wzywają do pracowni. Bądź dobrej myśli, moje dziecko.

Janka podeszła powoli do łóżka. Na jej widok Luiza uniosła szybko głowę i długą chwilę przypatrywała się jej w milczeniu.

— Jaka pani ładna i miła! — odezwała się wkońcu z uśmiechem, który ożywił nagle jej bladą, wynędzniałą twarz.

Jankę rozbawił ten szczery, naiwny komplement.

— W każdym razie nie jestem tak ładną, jak pani! — zawołała śmiejąc się — Tylko musisz mi przyrzec nie płakać już więcej i nie martwić się, bo zbrzydniesz zupełnie. A przedewszystkiem musisz zostać moją przyjaciółką, Luizy — dodała pieszczotliwie, przesuwając dłoń po miękkich jej włosach — obiecujesz to?

Luiza, wzruszona, skinęła głową. Wdzięk i łagodny głos nowej towarzyszyki podzielał uspakajającą na wyčerpany jej organizm. Wspierała głowę na jej ramieniu i dwie duże łzy stoczyły się po jej twarzy.

— A to ładna poprawa! — zawołała Janka — Luizy, posłuchaj mnie! Wiem od pani Wiktoryi, że przeżywasz obecnie ciężkie jakieś zmartwienie. I ja również szczęśliwą nie jestem! Starajmy się wzajemnie pocieszać się, a przekonasz się, jaką to nam ulgę przyniesie! Tylko bądź silna, Luizy, nie poddawaj się rozpacz. Jesteśmy młode i pracować możemy, a w pani Wiktoryi znalazłyśmy znowu opiekunkę. Jak powrócisz trochę do sił, będziesz moją towarzyszką w pracowni, dobrze? Będziemy się wzajemnie wspierać i wspomagać, jak dwie siostry, zgadzasz się, kochanko?

Luiza za całą odpowiedź zarzuciła ramiona na szyję nowej przyjaciółki i uściśnęła ją gorąco.

Poniedziałki pana barona Bressien.

Był to dzień przyjęcia oficjalnego u bankiera Bressien. Już od godziny dziewiątej rano tłumy oblegały poczekalnię, każdy oczekując swojej kolei. Bankier miał rozliczne znajomości, nie pogardzając nikim, od którego by mógł wyciągnąć jakąś korzyść dla siebie. Tolerował on dyskretnie, nie angażując się sam, przeróżne oszukańcze interesy, kombinacje, wyzyski i szantaże, a każdego, oddającego się temu procederowi, trzymał w ręce i mocy swojej.

Początkowo z takim klientem obchodził się grzecznie i względnie, aby wyrobić sobie u niego zaufanie i szczerość, a gdy nadeszła chwila właściwa, podsuwał do podpisu „pewien papier“, poparty już niedwuznaczną groźbą i przechodził do następnego.

Audencya miała się już ku końcowi, kiedy pan Collin-Megret przybył do poczekalni, pragnąc i on także pomówić w ważnej sprawie z bankierem.

— Oh! jakże się cieszę, że cię widzę, drogi Collin Megret! — zawołała na widok jego osobistość o długich, białych faworytach z monoklem w oku. — Poufna rozmowa z bankierem, co?

— Możliwe, ale cóż ciebie tu sprowadza, doktorze? Widzę, że jesteś pan w doskonałym usposobieniu!

— Odziedziczyłem w tym czasie gruby majątek!

— Pan!?

— Oh! Zdajesz się nie dowierzać, panie Collin-Megret! Tak, ja! Dziwi cię to? Czyżbyś nie wiedział, że Magnusowie spokrewnieni są z rodziną Villepre?

— Dowiaduję się o tem w tej chwili!

— Więc dowiedz się jeszcze, że od dziś dnia rozporządzam sumą sto pięćdziesiąt tysięcy rocznego dochodu!

— Czy być może! W takim razie nie opuszczam pana więcej!

— To niemożliwe, bankier oczekuje mnie, właśnie nadchodzi moja kolej!

— Szkoda, miałem prosić pana... oh! nie o pozyczkę, uspokój się doktorze.

— W takim razie prosba załatwiona. Mogę panu nawet wyrządzić drugą przysługę, jeżeli chcesz.

— Jaką?

— Wejść pan przedemną, bo po mojej wizycie

baron będzie wściekły. Jest to bowiem ostatni mój poniedziałek, rozumiesz?

— Rozumiem. Szczęśliwy z pana człowiek, chciałbym być na miejscu pana! Ale cicho! Oto baron!

Bankier de Bressien odprowadzał do drzwi jakiegoś klienta, nie tyle z grzeczności, ale żeby się przekonać, czy dużo jeszcze osób oczekuje.

— Ah! doktor Magnus! — rzekł z lekkim zaniepokojeniem — proszę, wejść pan!

Doktor Magnus Villepre powstał bez zbytejnego pospiechu i szepnął, przechodząc, do Collin-Megreta:

— Szkoda, nie udało się! Żałuję cię, mój przyjacielu, ale widzisz, że nie mogę inaczej uczynić! Do widzenia! Będę wkrótce u pańskiej milej sąsiadki, modystki!

— Właśnie o to chciałem prosić pana doktora — odrzekł pan Collin-Megret.

W kilka minut po wyjściu doktora, do poczekalni wbiegł Andrzej Delrue.

— Dobrze, że pana jeszcze zastaję! — rzekł pospiesznie.

— Sądziłem, że przychodzisz pan dla barona.

— Nie, nie! Chciałem się z panem widzieć, a wiedziałem, że tu dziś będziesz.

— Ale, ale, panie Delrue! Muszę panu pogratulować! Czytałem wczorajsze dzienniki! Ma pan dar specjalny do prowadzenia umów z apasami i rozwiązywania ich następnie bez szkody dla siebie! Całe szczęście, że pani Wiktorya zajęła się tą biedną dziewczyną, bo może w braku pana na niej by się zemścił chcieli!

Andrzej Delrue spojrział z podziwem na pana Collin-Megret.

— Chce pan kłamstwem wydobyć ze mnie prawdę — rzekł ironicznie — ale to się panu nie uda. Może to ta mała opowiada takie nieprawdopodobne historie?

— Zazwyczaj lubię sam się informować — odparł niedbale pan Collin Megret — szczególnie kiedy rzecz warta jest tego trudu.

— Sledziłeś mnie pan? — wybuchnął z wściekłością Delrue.

— Może.

— Panie Collin-Megret, do czego pan zmierza właściwie? Czy ja się mieszam w pańskie sprawy? Czyż nie jesteśmy sprzymierzeńcami?

— Tak, ale pod warunkiem, że każdy znajdzie w tem swój interes.

— A więc mów pan; pięć a pięć jest dziesięć!

— Nie, bo dwa razy dziesięć jest dwadzieścia.

— Jakże to? Ta suma była umówioną!

— Warunki dnia wczorajszego mogły zmienić uledz. Ja patrzę jasno, Delrue.

— Ale słowo pańskie.

— Możesz je zatrzymać!

— Stawiasz pan sprawę na niemożliwym gruncie!

— To trudno! Za wielkie ryzyko na tak małą sumę.

— Spróbuję gdzieindziej.

— Nie wiem, czy to się uda, panie Delrue. Zapominasz o kwicie, który znajduje się w kasie, tu, obok. Zresztą mogę pomówić z hrabią Henrykiem de Kermor.

— Strzeż się pan barona! On umie się mścić!

Groźba nareszcie poskutkowała. Pan Collin-Megret przybrał dobroduszy wyraz twarzy i rzekł pojednawczo:

— No, niech będzie piętnaście tysięcy i nie mówmy o tem więcej, bo widzi pan, trzecia część z tego muszę dać doktorowi Magnusowi.

W tejże chwili drzwi od kancelaryi otworzyły się z trzaskiem, przepuszczając doktora, nerwowo coś nucącego pod nosem, za nim zaś szedł bankier ze zmienioną, apoplektyczną twarzą.

— Poczekaj, kanalio! Przechwyć cię jeszcze! — mruczał baron, patrząc z wściekłością za odchodzącym.

Baron de Bressien przebył ciężką przeprawę w kancelaryi swojej z doktorem Magnusem, znanym w wielkim i małym świecie Paryża, bywalcem, lekomyślnym graczem i człowiekiem bardzo elastycznego sumienia. Namiętność do gry, a właściwie do wygrywania, doprowadziła tego zdolnego i sławnego pomimo wszystko lekarza do tego, że, jak wielu innych, wpadł przez nieostrożność w ręce barona, którego bacznej obserwacji nie uszły artystyczne malwersacje jego przy zielonym stoliku. Za milczenie musiał doktor podpisać „pewien niewinny papier“ i odtąd stał się jednym z najpункtualniejszych klientów na recepcjach poniedziałkowych bankiera.

(Ciąg dalszy nastąpi)